

W "biurze" — gkieregk

W "biurze" siedziało nas czterech: szeryf- prezes GS-u, handlujący nawozami zastępca szeryfa, fizyczny ja oraz pies – przypalany kundel, Borys. W "biurze", a nie w biurze ponieważ pomieszczenie było bzyzące od much, klimatyzowane od okien i brudne od towotu. Nie pamiętam, kiedy kanciapa została nobilitowana i przemieniła się w "biuro", w każdym razie ten pokój miał potencjał, a my nie mieliśmy chęci, dlatego wtedy, tak jak przedwtedy i przedprzedwtedy graliśmy w oczko. Ja, szeryf i vice szeryf. Pies machał natomiast swoją przedłużającą zadek łapką na muchy.

Mały kundel zadomowił się w tydzień od przecięcia sznura i wyciągnięcia z pobliskiego lasu. Po ogryzieniu dwóch kości zaczął szczekać, po następnych dwóch szarpał nogawki.

Był kwadrans po trzynastej, zaczęliśmy grać dwanaście minut temu, po pięciu godzinach bezczynności, z której wyzwolił nas szeryf:

- Oczko?

Tylko pies odpowiedział uderzeniem ogona o szafkę.

- No to oczko – powiedział jedyny zainteresowany, widząc aprobatę zwierzęcia.

I tak siedzieliśmy z kartami, bo niby czemu mielibyśmy nie siedzieć? O tej godzinie jest za wcześnie, by wypatrywać szesnastej i za późno, by pracować. Prezes i vice byli tego samego zdania, kundel też wydawał się nie mieć nic przeciwko.

Przez kolejne półgodziny nie działo się nic, o czym warto byłoby pisać. Karta na stół, psi ogon o szafkę, samochód na jezdni. Karta, ogon, samochód, ogon, samochód karta, samochód, karta, ogon etc. Vice szeryf - handlarz nawozów otworzył butelkę z oranżadą i tyle ze zwrotów akcji. Osobliwością, która miała miejsce po około trzydziestu minutach, był sygnał karetki. Ambulans przemknął przez GS-owski plac i zniknął za ogromnymi silosami ze zbożem.

- Ubędzie czy przybędzie? – rzucił prezes.

Sygnał oddalał się bardzo powoli aż nagle całkowicie zamilkł. Zbyt raptownie; karetka musiała zatrzymać się gdzieś niedaleko. Nic to, gra idzie dalej, oczko się toczy, ogon chłoszcze drzwi blaszanej szafy, a ja nadal przegrywam. Ciekawski vice ciągle spoglądał przez okno, jakby chciał przeniknąć wzrokiem wszystkie ściany, mury i winkle między nim a karetką. Kundel Borys zerwał się na równe łapy i wybiegł na plac przed "biurem", gdzie zaczął skamleć i kręcić się wkoło. Karty przestały padać na stół, wszyscy wiedzieliśmy, że trzeba zrobić coś z Borysem, inaczej rozjedzie go jakiś samochód, wszyscy siedzieliśmy jednak dalej przy stole. Zapaliłem papierosa i wyszedłem na zewnątrz. Wilgotny asfalt parował w słońcu, blachy wyginały się w spazmach i co chwilę głucho krzyczały, nasz kundelek gdzieś uciekł, a ja, zmęczony ostatni sprawiedliwy, musiałem go znaleźć. Przywiązałem się do tego merdającego ogonem drania i nie chciałem, żeby skończył tak jak ostatni pilnujący pies – pod kołami samochodu. Obszedłem plac dookoła, zajrzałem pod każde widły każdego wózka, nie znalazłem go w budzie i pod naczepami z drewnem, nie było go pod paletami i na zacienionym podwórku obok chatki ciecica, nigdzie nie było słychać szczekania, skamlenia lub wycia.

- Jak kamień w wodę – powiedziałem po powrocie.

- Pewnie coś go rozjedzie, jak tamtą sukę.

- Suka uciekła, to ten ostatni wpadł pod samochód – poprawił szeryfa jego podwładny – ty, siadaj, gramy dalej.

Spojrzałem jeszcze przez okno i usiadłem na odarte z tapicerki krzesło. Vice rozdał karty.

Sytuacja była identyczna jak parę minut temu, z tą różnicą, że zamiast psiego ogona, słyszeliśmy warczenie elektrycznego wiatraka, włączonego pod moją nieobecność.

- Ten pies już nie wróci – powiedział wszystkowiedzący szeryf – nigdy nie wracają, jeśli wyjdą daleko poza swój teren. Może zobaczył suczkę, albo ktoś go złapał na kość.

Ten dumny człowiek, władca GS-u na okres dwóch lat, zawsze wiedział wszystko, a swoje tezy popierał przeróżnymi historiami wyssanymi z palca.

- Mój owczarek (zawsze podkreślał rasowość psiny) wyszedł tylko za płot i więcej go nie widziałem – opowiadał, mimo że jakiś miesiąc temu żalił się, jak ktoś otruł mu psa. Na pewno zawistny sąsiad, którego nie było stać na zrobienie zwierzęciu rodowodu.

Innym razem klócił się, że instalacja gazowa nie szkodzi samochodom, bo kiedyś jeździł Ładą na gazie i Łada ta służyła mu dwadzieścia lat. Kilka dni później wygadał się po pięciu czy sześciu kolejkach, że zawsze jeździł na benzynie i nie mógłby prowadzić samochodu napędzanego inaczej, czy to ropa, czy gaz.

- Pierdaczysz pan – odezwał się vice – wyrucha jakąś sukę, poszuka czegoś do jedzenia na wysypisku i wróci. Gdzie będzie miał lepiej?

Szeryf na pewno miał w zanadru jakiś kolejny idiotyczny argument, ale na szczęście nie zdążył się nim podzielić. Do "biura" – kanciapy weszła młoda, elegancko ubrana kobieta. Włosy miała spięte w kok, z którego wystawały dwie trzymające konstrukcję paleczki. Uda zakrywała beżowa spódnica, białosc łydek kończyła się na kostkach, pod którymi swój początek miały czarne półbuty z plastikowymi diamencikami. Czekałem, aż coś powie, czekałem na moment, gdy usłyszę głos któregoś szeryfa: "To nie tu, niech pani pójdzie sto metrów dalej i skręci w lewo, tam jest poczta", czekałem i nie mogłem się doczekać, kiedy ciało kobiety zrobi zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, a ja zobaczę jej nagi kark - reprezentację damskiego rewersu.

- Przepraszam – odezwała się pierwsza – czy tutaj jest skład nawozów?

- Tak – vice zerwał się z miejsca i prawie krzyknął – w czym mogę pomóc?

- Właściwie w niczym. Pracuję obok, w urzędzie gminy i czekam na męża, powiedział, że przyjedzie po mnie pod GS-owski skład nawozów – kobieta w beżowej spódnicy zaczęła wyglądać na plac – nie widzieli panowie tutaj srebrnej toyoty?

Vice zaprzeczył. Odezwał się prezes, wystrzeliwując kolejny ładunek ze swojej armaty idiotyzmu:

- Co się odwlecze, to nie uciecze. Jak się umówił, to przyjedzie, no, chyba, że zapomniał.

Spojrzałem młodej kobiecie w oczy, były młodsze od reszty, takie szlachetne. Westchnąłem. Prezes pomyślał pewnie, że było to westchnięcie z kategorii westchnięć mądrych, a ja wyraziłem w ten sposób aprobatę wobec głębi jego słów. Nic bardziej mylnego, ty żalosny staruchu.

Co ja tu w ogóle robię między tym siwym tępakiem, a tym podstarzałym amantem, któremu uruchamia się widzenie tunelowe, gdy kobieta nosi opinającą biodra spódnice? Zapaliłem papierosa. Proszę, odwróć się – powiedziałem w myślach, patrząc na jej szyję. Jak na zawołanie odwróciła się i bez słowa wyszła.

„Proszę, wróć!” - miałem nadzieję, że kobieta ponownie spełni moje ukryte życzenie. Oczywiście, nie spełniła, to byłby akt głupoty i niezdecydowania ze strony jakiegoś ukrytego w naszym „biurze” boga, czy czegoś takiego. Albo jest się dobrem, albo złem, albo skazujesz mnie, jakiś boże/diable, na brudną kanciapę, albo na pachnącą kobietę w bluzce z dekoltem.

Kobieta usiadła na ławce przed niepotrzebną chatką stróża. Nie mogłem się powstrzymać i co chwilę na nią zerkąłem. Zlituj się i nie odchodź albo zabierz mnie stąd, zabierz i zabij. Gapię się na nią już tyle, że powinna zauważyć, jak bardzo potrzebuję pomocy. Po niecałej minucie zacząłem wariować: powinienem

się do niej odezwać? Może czymś ją poczęstować? Ale czym? Mam tylko oranżadę z pobliskiej rozlewni. Może pójść do sklepu i coś kupić? Ale czy to nie będzie podejrzane? A przede wszystkim, czy nadal tu będzie, gdy wrócę? Za duże ryzyko. Jaki ja naiwny jestem – pomyślałem, wyciągając z paczki kolejnego papierosa.

- Palisz jak smok – odezwał się szeryf.
- Zamknij mordę, capie – chciałem powiedzieć
- Nie palę znowu tak dużo – powiedziałem.

Na szybach wylądowały pierwsze krople deszczu, który unosił się w chmurach od paru godzin. „Nie ma innej możliwości, teraz wróci, schowa się w moim pałacu bierności” – triumfowałem po cichu, ale ona nadal siedziała na ławce. Chciałem krzyknąć, żeby tutaj przyszła, bo zmoknie, ale szybko się opamiętałem. Przecież ona nie może wejść do „biura”, właściwie, moim obowiązkiem jest ją powstrzymać – myślałem – nie może wejść do dziewiątego kręgu, zamieszkałego przez takie dziwaczne organizmy, ludzi – rośliny.

Szeryf i vice nie zdradzili Cezara, a ja nie sprzedąłem Chrystusa faryzeuszom. Nasz grzech jest bardziej prymitywny, dlatego nie ma tu miejsca dla pięknych kobiet w beżowych spódnicach. W dziewiątym kręgu, u podnóża wulkanicznej góry, przebywają wegetujący i zblazowani tchórze. A może jest inaczej? Może to tylko moje piekło, może specjalnie zostałem uwięziony w swojej słabości, żeby dwie dominujące jednostki kazały mi grać w idiotyczne oczko. W takim razie, jeżeli jest tak, jak wydaje mi się, że jest, to co robi tutaj ta pachnąca? Czy ona...? Oh, ona na pewno dominuje nad swoim mężem, a on? Jaki może być jej mąż? Jeździ nową, srebrną toyotą, musi dużo zarabiać. Kurwa mać, nad moimi emocjami dominuje nawet związek nieznanych osób!. Chciałbym uciec z tego piekielnego kotła, ale jak? Ale gdzie? Te diabły mnie nie puszcza.

Moje myśli zaczęły formować rzeczywistość: twarz szeryfa szerniała, wszystkie muchy skupiły się obok krzesła prezesa i przykleiły mu się na samym końcu pleców, ogromny muszy rój wiercił się i bzyczał nad pośladkami starego szeryfa. Vice prezes, handlarz nawozami, powoli zsunął się z krzesła i padł przed swoim szefem na czworaki. Spod wędkarskiej kamizelki wystawała czarna sierść, jego uszy wysmukły i stały się bardziej spiczaste. Nim dopełniła się metamorfoza, handlarz nawozami nieudolnie ryknął, jakby próbował przedrzeć łwa. Słowem, vice prezes zamienił się w czarnego, lśniącego kota.

- Przyprowadź ją – powiedział prezes Belzebub, sadzając skociałego vice prezesa na kolanach – ona musi być taka jak my, wszyscy muszą być tacy jak my. Ileż można trzaskać w karty we trzech?

Z głowy prezesa wystawały czerwone rogi, a pod pachą znajdował ujście ogon zakończony żądłem. Nie odpowiedziałem na jego pytanie, nie zdążyłem, nie chciałem zdążyć. Deszcz rozpadał się na dobre i z impetem uderzał o szyby, niszcząc wyimaginowany świat, wybudzając mnie z piekielnego transu. Krople były coraz bardziej zdeterminowane, bębnienie coraz silniejsze. Kobieta w mokrej spódnicy wstała i zaczęła rozglądać się za schronieniem. Chodź tutaj, tu jest sucho i bezpiecznie – pomyślałem. Ale po chwili zastanowienia wyrwało mi się i krzyknąłem, żeby uciekała.

Prezes, znowu jako Belzebub, zerwał się z krzesła i w odpowiedzi na niesubordynację złapał mnie za gardło, a pazurami drugiej ręki przebił na wylot język. Oczywiście, nie czułem bólu, bo cała sprawa z Belzebubem była jedynie filmem reżyserowanym przez moją wyobraźnię. Projekcja znowu została przerwana, tym razem szczekaniem psa Borysa. Bez chwili namysłu wybiegłem na zewnątrz. Gdy

mijałem domek ciecica, kątem oka zobaczyłem, że beżowa sukienka wstaje z ławki.

Wspaniała kobieta, pachnący anioł, ta, przez którą prawie straciłem język, ta, której perfumy ostrzegły mnie przed piekłem, ta, której białe łydki, pozwoliły mi pojąć beznadzieję tego miejsca i w końcu ta, którą umyślnie zgwałciłem marzeniami. Ta dominująca mężatka, której paznokieć więcej jest wart od całego mnie, biegła w stronę towarowej wagi, aby schować się pod eternitem wiaty, gdy ja biegłem do ukochanego kundla, który nie miał nic wspólnego z Belzebubem i nie wiedział, co to piekło. Psa nigdzie nie było widać, ale zza starego, rolniczego magazynu dobiegało jego szczekanie. Byłem już na rogu budynku, zza którego nagle wyjechała karetka i z poślizgiem mnie wyminęła. Kierowca włączył sygnał i mknął środkiem placu. Jechał szybciej niż rozgniewane niebo rzuciło o ziemię deszczem. Pod moimi nogami przebiegł Borys, chcąc dogonić ambulans i nie wiem co, przegryźć opony? Rozszarpać gardło kierowcy? Deszcz zaczął na tyle mocno, że nie mogłem otworzyć do końca oczu. Przez wąskie szpary między rzęsami widziałem, jak kobieta moich myśli biegnie w stronę zadaszania, nie widząc niebiesko – czerwonego światła na dachu pędzącego samochodu, który sekundę później wiozł ją zaczepioną o świecącego koguta, a następnie uderzył w potężny dwuteownik. Byłem pewien, że aniołowie w ostatniej chwili unoszą tego mentalnego sukuba w beżowej spódnicy i ratują przed rozpędzonym ambulansem. Oczywiście, to bzdura, nic takiego się nie wydarzyło.

Piękna uwodzicielka mózgów przeturlała się po masce samochodu i z płasko-hukiem uderzyła w dach. Podbiegłem do miejsca wypadku, które już nie było zwykłym miejscem - urosło do rangi wiecznie niezrozumiałego absolutu. Spódnica powoli zabarwiała się na czerwono, między jej nogami groteskowo migał i piał elektryczny kogut. Boże/diable, jak mogłeś?

Z "biura" wybiegli piekielni decydenci – szeryf z kocim vice i z muszym ogonem, który nieudolnie próbował dogonić swojego właściciela. Władcy dziewiątego kręgu gwałtownie się zatrzymali, jakby trafili na linię, za którą znajduje się strefa sacrum. Niepocieszony Belzebub cofnął się o kilka kroków i wlepił we mnie wzrok. Ja wiedziałem i on wiedział, on wiedział, że ja wiedziałem, że on będzie chciał zdobyć ulatującą z ciała w beżowej sukience duszę. Z jego zwęglonych ramion zeskoczył vice i zaczął krążyć wokół karetki, szukając dobrego miejsca do skoku. Nagle, ku mojemu zdziwieniu, ku zaskoczeniu kota, prezesa, much i psa Borysa – tak, jakby wszyscy myśleli, że karetka prowadziła się sama – z samochodu wyskoczył kierowca i chwiejąc się na nogach obserwował nasze twarze. Nie wiedząc, co się tutaj kroi, wlaź na dach w celu oszacowania szkód. Nie pozwoliło mu na to niebiesko-czerwone, migające krocze, więc zeskoczył z powrotem na ziemię, skręcając sobie kostkę. O zgrozo, albo był pijany, albo ośluszony. Kuśtykając zataczał się, zataczając się kuśtykał, próbował dojść do drzwi, ale co chwilę musiał łapać się karoserii samochodu.

Kot był już gotowy do skoku: wygiął się do tyłu, rozpostarł pazury, zjeżona sierść lśniła jak chirurgiczne igły. Zza tylniego koła wyskoczył Borys - dziarski, szczekający. Osierściony vice prezes zagroził mu drogę, prowokując do walki na zęby i pazury. Chciałem pomóc kundlowi, ale gdy tylko zrobiłem krok w ich stronę, prezes wykonał jednoznaczny gest uzbrojoną w szpony ręką. Po paru chwilach, szczęknięciach, pisknięciach, zadrapaniach, po paru kocich ciosach pies padł martwy, a jego przeciwnik po krótkim odpoczynku wskoczył na dach karetki i wyssał z ciepłego ciała duszę.

Nie będę rozpisywał się o tym, co dalej nastąpiło. O tym, jak wiatr porwał spopielone ciało z dachu karetki. O tym jak wyczekiwałem srebrnej toyoty, ale nie przyjechała do szesnastej. O tym jak wróciłem do "biura" grać w oczko z prezesem i vice. Cholera jasna! Napisałem, że sam wróciłem? Oczywiście, zostałem tam zaciągnięty przez dwa demony.

W dziewiątym kręgu nigdy nie było tak samo jak wtedy, w moich myślach. Od ósmej do szesnastej wąchałem powietrze, ale GS nie nosił już zapachu tej kobiety, nigdy go nie nosił. Nie objawiła mi się już beżowa spódnica, na którą czekałem do końca życia, u schyłku którego napisałem to, co ty przeczytałaś/eś. Historia jak najbardziej nieprawdziwa i jak najbardziej prawdziwa(gdzieś, kiedyś, na jakiejś asteroidzie czyjegoś ” wolnego” umysłu).

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

gkieregk, dodano 03.07.2010 08:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.